



Nowo OTWARTY MAGAZYN OBUWIA ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516

poleca najlepszej jakości i trwałości

obuwie dziecięce, damskie i męskie.

MICHAŁ MORPHY.

TAJEMNICA POGROMCZYNI.

Powieść z francuskiego.

3

Gospodarz ociekał grubemi kroplami potu, przewidując bankructwo. Nogi mu drżały. Poszedł za kasę i przysiadł się do żony.

— Ach mój Boże, co tobie? — zapytała pani, przerażona jego zgnębieniem.

Nieszczęśliwy wskazał jej ruchem ręki żarłocznych klientów.

— Spójrz tylko! — rzekł z cicha.

Zacna kobiecina nie chciała wierzyć własnym oczom.

— Ależ oni kończą już po dwa funty chleba!

— Co ty wiesz? Oni już taką samą porcję pochłonęli przed makaronem bardzo gęstym.

— I my to wytrzymamy?

— Cóż zrobić! Nie możemy przecież zrażać wszystkich klientów. Byłby skandal, gdybyśmy odmówili chleba!

— Ależ to okropni ludzie!

— Komu to mówisz, moja droga!

— Idź, stań koło nich. Przy tobie zawstydzą się może.

Patron skorzystał z tej podniety i poszedł przechadzać się dookoła stołu przyjaciół.

Słyszał, jak Carboniera mówił:

— Uważasz, mój drogi, nie spieszymy się z zamawianiem mięsa. Główną jest rzeczą pochłoniąć jak najwięcej chleba. Gdy już nie będziemy mogli oddychać, weźmiemy sobie jedną potrawkę i jedną główkę cielęcą, które podzielimy ze sobą.

— Dla czego wybierasz główkę? — zapytał Monte-Leon z pełnemi ustami.

Jakiś ty jednak niedomyślny! Jakto, nie rozumiesz, o co mi chodzi? Główną zalejemy oliwą i w niej będziemy chleb maczać. Oliwa to rzecz dobra i zdrowa na żołądek. Lubie ją tak jak masło.

I ja także potwierdził Monte-Leon.

Gospodarz nie mógł więcej słuchać. Poszedł do żony i opowiedział jej to, co usłyszał.

— Sprzątaj-że oliwę — rzekła doń — flaszka pełna, mój Boże!

Stary rzucił się do stołu.

— Potrawka i główka cielęcą! — zawołał Carboniera głosem donośnym.

Za późno! — jęknął nieszczęsny jadłodawca.

I miał nieborak być świadkiem widowiska, zapowiedzianego przez Carbonierę. Widział ze zgrozą orgię oliwy, którą z rozpaczliwym zapalem pochłaniali żarłocy.

— Wody selcerskiej! — zażądał ostro Monte-Leon.

— Ach, teraz kolej na moje syfony — westchnął gospodarz.

Młodzi ludzie doszli do ryby.

— Jeden tuńczyk i jeden śledź!

Gospodyni zmierzyła wzrokiem flaszkę z oliwą.

— Pół butelki oliwy!

— Niesłychane rzeczy!

Głos Carbonierzy rozległ się znowu i znalazł bolesny oddźwięk w sercu gospodarza.

— Kartofle z oliwą — huknął groźnie.

Pełna salaterka znikła w mgnieniu oka. Zażądali drugiej.

Monte-Leon domagał się nieustannie syfonów. Carboniera skończył swój bochen chleba i zawołał na podziw całej sali:

— Garson, chleba, brak go nam!

— To już przechodzi wszelkie granice! — jęczał patron.

Garsoni ustawili się rzędem dla obsługiwania obu przyjaciół. Ci nie dawali im spokoju.

— Jeszcze kartofli z oliwą.

— Proszę o syfonik.

— Chleba, garson!

Klienci raz przecie byli kontenci. Cieszyła ich strata restauratora. Nie byli dlań życzliwi, bo urywał na poręczach. Wszyscy chcieli odejść krzywdę swoją chlebem, jak obaj nowoprzybyli. Przykład stał się zaraźliwy.

Protest na skapstwo gospodarza ogarniał wszystkich i każdego. Zewsząd dawały się słyszeć wołania rujnujące:

— Garson, woda selcerska! To gratis!

— Proszę o chleb! Tego się nie liczy!

— Trochę kartofli z oliwą, jeżeli łaska!

Ale Carboniera był mistrzem tego koncertu zgłodzińców. Trzeba go było słyszeć, jak nawoływał swoim basem:

— Garson, chleba, na raz w usta!

Prawdziwie, był to istotny Herkules na punkcie żołądka. Patron i jego żona, z oczyma rozszarżenymi, przerażeni, osłupiali, patrzyli na kolosa.

— To ogarnia wszystkich — ozwał się gospodarz głuchym głosem. — Zobacz, jak pożerają! Aż do tego małego w kącie, który nigdy nie żąda kartofli z oliwą: prosi jeszcze! Taki suchotnik!

Przyjaciele byli przy deserze, a ich żarłoczność wzrastała niejako. Pani domu wyszła z za kontuaru.

— Nie mogę dłużej patrzeć na to — oświadczyła półgłosem.

Jej małżonek został sam na pobojuwisku. Nareszcie wydał westchnienie ulgi.

— Dwie kawy z rumem — wygłosił Carboniera.

— Skończyli — pomyślał patron.

Ale czekał go cios ostatni. Przyjaciele jeli maczać chleb w kawie.

Nigdy restaurator nie doznawał takiej konsternacji.

— Co najmniej sześć funtów chleba... Flakon oliwy... Pięć syfonów... Dwie salaterki kartofli... nie licząc obiadu. I to wszystko za dwa franki dwadzieścia! Bandyci!

Młodzi ludzie wstali nareszcie.

— Ale też jadłeś! — rzekł Monte-Leon, wstając od stołu.

— A ty!

— O, to nic w porównaniu z tobą.

— Bo widzisz, comkolwiek zjadł, to zdawało mi się, że zaraz trawił. I teraz czuję, że cały ten obiad schodzi mi aż do pięt.

— Bądź co bądź, dobrze się tu je za franka dziesięć.

— Niezgorzej.

I podeszli do kasy.

Carboniera rzucił na kontuar sztukę pięciofrankową.

— Płacę za dwa obiady i dwie kawy — rzekł, obrzucając wzrokiem lustro, na którym widać było zielony pasek. Miał on następujący napis: „Nabywający 6 obiadów korzysta z 5 centymów ustępstwa na każdym obiedzie“.

Carboniera zdecydował się odrazu.

— Proszę o sześć kart obiadowych — rzekł, dodając sztukę dwufankową. I czekał na resztę, obojętny jak fatalność.

Gospodarz zbliadł.

— Ach, panowie nie są przechodni? — zapytał stłumionym głosem.

— Nie, nie i przypuszczam, że będziemy stałymi gośćmi pana.

I z tą obietnicą, która do reszty zgnębiła gospodarza, Carboniera zostawił dwa znaczki obiadowe i garsonowi wręczył napiwek.

— To znaczy, że zjedli obiad za dwa franki dziesięć centymów — rzekł do siebie jadłodawca, opadając całym ciężarem na stół. — I mają wrócić. To moja ruina!

Gdyby biedaczysko słyszał był rozmowę obu towarzyszy, byłby rażony apopleksją.

— Wiesz co — mówił Carboniera — będziemy jadał tylko po jednym obiedzie na dzień, ale zjemy uczciwie!

Patron śledził wzrokiem odchodzących. Przez chwilę miał ochotę krzyknąć:

— Kto ma taki apetyt, ten nie jada za franka dziesięć

Ale nie śmiał..

Co wieczór obaj towarzysze wracali do tej gar-kuchni, ku wielkiej rozpaczy restauratora i jego małżonki, która o mało nie rozchorowała się poważnie.

Ale Monte-Leon nie zapomniał o zamówieniu, jakie zrobił u niego pan Vernier. Obmyślał nowe projekty deseni na materye i wykonał żadaną kopię. Poczem udał się do f.brykanta, który zdawał się być zachwyconym, widząc go w przyzwoitem ubraniu. Nie był on czuły na subtelności sztuki, zauważył jednak, że Monte-Leon przydałby mu się niezawodnie, gdyby chciał pracować. A jednak nie dowierzał mu jeszcze. Zażądał więc od młodego człowieka kilku szkiców na prędce. Ten wykonał je niezwłocznie.

Pan Vernier, zachwycony, zaproponował mu przybycie do Boulogne-sur-Mer, do jego fabryki, z placą tysiąca dwustu franków rocznie. Monte Leon przyjął królewską ofiarę i otrzymał kosztą podróży. Dobrą nowiną podzielił się z przyjacielem, żądając, ażeby mu towarzyszył.

— Cóż ja bym tam robił na prowincyi? — rzekł Carboniera. — Zostaję na miejscu, a tobie życzę powodzenia.

— Niechże i tak będzie, ale co miesiąc, dopóki nie staniesz o własnych siłach, będę ci przysyłał pięćdziesiąt franków.

— Odmawiam!

— W takim razie nie jesteś moim przyjacielem.

— Ależ mój drogi!

— A więc zgódź się! Pomiedzy nami, widzisz, to przyjaźń na śmierć i życie!

— Zgoda więc, przyjmuję, ale niebo i ziemię poruszę, ażeby znaleźć cośkolwiek.

Nazajutrz, po ostatnim obiedzie za franka dziesięć, Monte-Leon ucałował serdecznie swego przyjaciela Carbonierę i odjechał pociągiem do Boulogne-sur-Mer.

ROZDZIAŁ III.

W Boulogne-sur-Mer.

Boulogne-sur-Mer jest ładnym miasteczkiem, bardzo lubianem przez Anglików. W sezonie kąpielowym wypiarze ci powiększają ludność o jedną trzecią. Ta trzecia część dostarcza środków żywności pozostałym dwóm trzecim.

Bulończycy wydzierżawiają hotele, domy i wille Anglikom, sprzedają najprzeróżniejsze cacka Anglikom, w końcu wynajmują nawet osłów Anglikom. Gdyby nie było Anglików, Bulończycy byłiby zrujnowani.

Ludność miasta składa się z mieszczan, księży, zakonnic, marynarzy, rybaków, z Anglików i z osłów. Dużo osłów i dużo Anglików. Ci ostatni, jeżdżący na tamtych, zajmują wszystkie miejsca przechadzek i odbywają pielgrzymkę do kolumny Napoleona I-go, który z powagą rozważa liczbę tych, co dla niego dali się zabić.

Część arystokratyczna i wyróżniana w Boulogne nosi naturalnie nazwę miasta wyższego. Nie należy jednak sądzić, ażeby „niewiasty z góry“ miały być samymi księżniczkami i margrabinami.

„Niewiasty z góry“ są to elegantki miejscowe. Tak się je zowie. I młodzież, ku wielkiemu zgorzeleniu zacofanych prowincjonalistów, wesoło maszeruje „na górę“.